Jednorożec

(3 klasa gimnazjum)

**Zemsta najlepiej smakuje na zimno**

Padało.

Tak jak zwykle. Woda bezlitośnie spadała na pogrążoną w ciemności Ziemię. Wiatr hulał po opustoszałym Londynie, niosąc ze sobą krople deszczu oraz przenikające do szpiku kości zimno. Przyłożyłam palce do ust, aby choć trochę je ogrzać. Przyciągnęłam kolana jeszcze bliżej ciała, by tracić jak najmniej ciepła, ale i to nie pomogło. Byłam wrakiem człowieka. Skulona za śmietnikiem czekałam na śmierć. Jaką miałam inną możliwość? Prawda, mogłam wstać i poszukać miejsca, gdzie wiatr będzie wiał kilometr na godzinę mniej, ale po co? Wszystko, co kochałam, przestało istnieć.

Skuliłam się jeszcze bardziej. Niech koniec nadejdzie szybko.

– Vic, idiotko, masz zamiar tu zdechnąć?

Heather klęczała tuż koło mnie.

– Przecież nie żyjesz, dlaczego wciąż mnie nawiedzasz?

– Istnieję w twojej podświadomości. Jestem tu, ponieważ mnie wymyśliłaś. Potrzebujesz wsparcia.

– Nie potrzebuję niczyjego wsparcia. Chcę, żebyś zniknęła! – odezwałam się głośno i zacisnęłam powieki.  Miałam nadzieję, że gdy je otworzę, widmo mojej martwej przyjaciółki zniknie, ale tak się nie stało. – Heather, chcę umrzeć. Zostaw mnie.

– W normalnych okolicznościach powiedziałabym ci, że trzeba cieszyć się życiem – zaczęła.

– Właśnie rozmawiam z wytworem mojej wyobraźni, nie mów mi o normalności.

Na bladej twarzy widma pojawił się uśmiech.

– W takim razie powiem ci, że nie przeżyłaś Zgaśnięcia tylko po to, aby sczeznąć tutaj.

– Pff... wolałabym, aby jakiś głupi meteor trzasnął mnie w łeb i ukatrupił na miejscu.

– Meteoryt. Meteory nie weszły jeszcze w atmosferę - typowa Heather, mądrzy się nawet jako wymysł mojej podświadomości. – A teraz wstawaj. Czas zmieniać świat.

\*\*\*

  Powłóczyłam nogami. Widmo podążało tuż koło mnie i gadało coś wesoło.

– Heather – odezwałam się nagle. – Jak to możliwe, że nie wyglądasz tak, jak w chwili śmierci?

– Jestem wytworem twojej wyobraźni, kochanie. Jestem taka, jaka chciałabyś, abym była.

– Ach, faktycznie – zatrzymałam się i rozejrzałam wokoło. Weszłyśmy w "złą dzielnicę" miasta, które kiedyś zwano Londynem. Wszędzie otaczały nas szare domki, gdzieniegdzie graffiti oraz tony śmieci i gruzu. – Gdzie mnie prowadzisz?

– Ja? Nigdzie. Jestem tobą, a ty mną. To twoja podświadomość...

– Heather, wiesz, że cię kocham, ale jeszcze raz wspomnisz o podświadomości, a dostaniesz w mordę.

– Jak chcesz – odrzekła, wyraźnie obrażona.

Na obóz wybrałyśmy (wybrałam?) altanę w opuszczonym parku. Śmierdziało jeszcze poprzednim lokatorem, kotem lub żulem, ale było to jedyne otwarte miejsce, które ochraniało od tego paskudnego wiatru, więc zignorowałam nasilający się odruch wymiotny i spróbowałam zasnąć. Byłam już bardzo blisko swego celu, gdy usłyszałam huk, trzask i stukot butów. Podniosłam się. Przede mną stała grupa rosłych facetów.

– Śmierdzi – odezwał się jeden z nich, z czerwonymi włosami i brązowymi odrostami.

– Wszyscy śmierdzimy, a ta jest całkiem ładna – rzekł drugi, wskazując na mnie palcem.

Zatkało mnie. Co oni sobie myślą?!

– Wstawaj – ktoś zwrócił się do mnie. Spojrzałam na niego. Był starszy od pozostałych. Miał brzydką bliznę biegnącą przez całą twarz, a głos co najmniej niemiły.

– Kim jesteście? – wyszeptałam, przestraszona. Kolesie spojrzeli po sobie.

– Władcami rejonu, na którym przebywasz. Jesteś nasza.

– Jaja sobie robicie?!

Ktoś zachichotał, ale ucichł po chwili.

– Jesteśmy śmiertelnie poważni, kochaniutka. Idziesz z nami albo giniesz tutaj.

– Więc mnie zabij – Heather nie byłaby ze mnie zadowolona, ale okazji na szybką śmierć nie mogłabym przegapić.

Mężczyzna z blizną wyjął pistolet zza pasa i wycelował w moje czoło. Przymknęłam powieki, gotowa na koniec.

Który nie nastąpił.

Ponownie otworzyłam oczy. Wtedy, zanim zdążyłam zareagować, mężczyzna wystrzelił, ale nie w głowę, tylko w powietrze, a rozgrzaną lufę przytknął mi do nieosłoniętego przedramienia. Krzyknęłam.

– Jeszcze raz nie będziesz mi posłuszna, a na oparzeniu się nie skończy. Wodnik i Minotaur, zabierzcie ją.

Odwrócił się i odszedł. Część grupy podążyła za nim, wybrani postawili mnie na nogi i prowadzili. Chciałam jakoś zareagować, ale strach za bardzo mnie obezwładnił. Ten po mojej prawej, z czerwonym nosem, odezwał się pierwszy:

– Dziewczyno, jak tu dotarłaś?

– Na nogach.

– A tak na poważnie?

– Facet, co mam ci powiedzieć? – odwaga i poczucie wyższości powróciło. – Błąkałam się, a teraz jestem tutaj i to powinno ci wystarczyć – fuknęłam. Plebs zawsze będzie taki irytujący?

– Nieczęsto znajdujemy tutaj żywych – wyjaśnił drugi. – Albo są z innymi gangami, albo nie żyją. Kobiet jest jeszcze mniej.

– Nie obchodzi mnie to – żachnęłam się i ze skrzyżowanymi na piersi rękami wyprzedziłam moich strażników. Po sekundzie jednak znaleźli się przy mnie i nie byli już tacy mili.

– Słuchaj, młoda. Nie będziemy cię niańczyć. Będziesz mieć to, na co zapracujesz. Zachowuj się jak należy. W przeciwnym razie, Aramis wyśle cię pod ziemię szybciej, niż zdążysz się zorientować, co zrobiłaś źle.

– Ogarniam – wywróciłam oczami. – Kim jest Aramis?

– Prawą ręką szefa i najgroźniejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznasz.

– To kim jest ten gościu? – zapytałam cicho, wskazując brodą na osobnika z blizną.

– Nazywamy go Hitlerkiem, co nawiasem mówiąc, łechce jego próżność. Konkuruje z Aramis o bycie najbliżej szefa. Nie ma z nią szans, bo jak widać na załączonym obrazku, to tylko połączenie psychola z totalnym głąbem – wyczerpująco opisał wszystko. Ziewnęłam.

– Spokojnie paniusiu, już niedaleko – rzekł drugi.

– Nie przesadzasz trochę z takim epitetem?

– Nie – przez parokrotnie złamany nos mówienie sprawiało mu wyraźny problem. – Tylko bardzo rozpieszczone dziecko mogłoby pyskować w takich chwilach.

Powinnam była się obrazić, ale ten chłopak miał rację. Dziadek i cała służba dmuchali na mnie jakbym była porcelanową lalką, a teraz boję się zamoczyć buty w kałuży. Nauczyli mnie tylko krzyczeć na mniej ważnych od siebie. Tym razem nic nie powiedziałam, a zanim Wodnik i Minotaur ponownie rozpoczęli rozmowę, dotarliśmy do celu. Nie było obozu – najwyraźniej ta grupa mieszkała w opuszczonej szkole. Na placu Hitlerek zarządził odprawę. Wszyscy udali się tam, gdzie im kazał bądź pozwolił przebywać, a mnie złapał za nadgarstek i zaciągnął przed gabinet dyrektora. Bez pukania otworzył drzwi i wszedł do środka. Przy biurku siedział muskularny, czarnoskóry mężczyzna. Dyskutował o czymś z kobietą w stroju antyterrorysty.

– Szefie, szef patrzy, jaką sztukę znalazłem w parku przy Magnoliowej – zarechotał na powitanie Hitlerek. Murzyn podniósł na podwładnego wzrok.

– Brakuje nam tylko kolejnej gęby do wykarmienia…

– Szefie, zawartością jej ust sam się mogę zająć, jeśli szef pozwoli.

Na mojej twarzy pojawił się szkarłatny rumieniec. Jak on śmie tak o mnie mówić?!

– Doceniam twoje, Hitlerek, zaangażowanie, ale poradzimy sobie bez tego – powiedział czarnoskóry. – Podejdź – machnął na mnie ręką. – Jak się nazywasz?

– Victoria Rosamunda Hedwourd – powiedziałam z dumą. Dziadek zawsze powtarzał mi, że nazwiska nigdy nie mam się wstydzić.

– Córka Edwarda Hedwourda, lorda Jatterham?

– Wnuczka.

– To stąd ma tyle dumy. Stare, arystokratyczne ścierwo – wtrącił Hitlerek.

– Cicho bądź, prostaku – uciszyła go kobieta z silnym rosyjskim akcentem.

– Imię ojca? – szef splótł palce i wpatrywał się we mnie ciemnymi oczami.

– Jakie to ma znaczenie? I tak nie żyje, a ja dołączę do niego w niedługim czasie.

– Chociażby z tego powodu, że Aramis i ja mogliśmy go znać.

– Dziadek nigdy mi nie powiedział. Moja matka uciekła z jakimś palantem, a gdy opieka nade mną się jej znudziła, podrzuciła mnie dziadkowi i słuch po nich zaginął.

– W takim razie odpuśćmy temat... Masz jakąś użyteczną umiejętność? – zapytał czarnoskóry.

– Znam francuski, niemiecki i podstawy arabskiego, ponadto umiem szermować.

– Gotować?

– Nie.

Murzyn pokiwał głową.

– Nie boisz połamać sobie pazurków?

Prychnęłam.

– Ostatni odpadł mi dwa tygodnie temu.

Powiedział coś po rosyjsku do Aramis, na co ona skrzywiła się z dezaprobatą.

– A więc Dante. Hitlerek, zaprowadź panią.

\*\*\*

Dante miał kręcone, brązowe włosy, prosty nos, wyćwiczone mięśnie i czarne oczy, w których kryła się jakaś nieokiełznana dzikość. Przynajmniej tyle mogłam o nim w pierwszej chwili powiedzieć.

– I co? Mam ją niańczyć? – zapytał.

Świetny początek świetnej znajomości, nie ma co.

– Kolo, myślisz że mnie to obchodzi? Z rozkazu szefa miałem ją tu przyprowadzić – Hitlerek ułożył ręce w obronnym geście i odszedł.

– Dobra, laska, nie obchodzi mnie, kim byli twoi starzy. Słuchasz się mnie. Bez wyjątków. Za sześć godzin wstajemy i szukamy tego co zwykle – jedzenia i czystej wody. Za jakiekolwiek wkurzenie mnie idziesz do oddziału Hitlerka. Zrozumiano?

– Tak. Jak się do ciebie zwracać?

– Dante, kapitan Dante, coś w tym stylu. A do ciebie?

– Najprościej będzie Vic.

– Dobra, Vic. Bądź gotowa na krew, pot i łzy.

\*\*\*

Obudziło mnie kopnięcie w bok. Nade mną stało kilku, może kilkunastu ludzi, w tym Dante.

– Na nogi, idziemy.

Posłusznie wstałam, choć głos w jakimś zakamarku mojej głowy uparcie powtarzał, że to ja powinnam im rozkazywać. Okryłam się jakimś kocem – oczywiście niczego innego nie miałam.

Drużyna z Dante na czele wyszła z budynku. Ponownie uderzył mnie ziąb panujący na dworze. Momentalnie powróciły pragnienia sprzed wczorajszego dnia.

Powiedziałam dnia?

Od ponad miesiąca nie było przecież dnia. Tylko noc, nieprzerwanie panująca nad światem. Słońce wybuchło. Część ludności wtedy zginęła, reszta pławiła się jeszcze w ostatkach ciepła nadesłanego przez wybuch.

Z zamyślenia wyrwał mnie jakiś podstarzały facet.

– Ty jesteś Victoria Hedwourd? – zapytał.

Nie ma co, początek jeszcze lepszy niż z Dante.

– Tak – potwierdziłam. – Ale czy ma to jakieś znaczenie?

Po chwili się zreflektowałam.

– Przepraszam, po prostu ciągle ktoś się o to pyta, co zaczyna być denerwujące – Spuściłam wzrok.

– Mnie też na początku irytowało – mruknął. – Jestem Gerald Woods, pracowałem z twoim dziadkiem.

Ta twarz... Pełna zmarszczek, z błękitnymi, świdrującymi oczami i dołeczkami w policzkach. Dopiero po chwili zorientowałam się, kto przede mną stoi.

– Wujek Gerry? – ucieszyłam się.

– Tak, Vikciu. Mocno wyrosłaś, co? – uśmiechnął się. – Ile to lat? Siedem? Dziewięć?

– Osiem, wujaszku.

– Tak, tak. Pamiętam, woziłem cię na spotkania harcerek, gdy twój dziadek nie miał czasu. A pamiętasz, jak...

– Wujaszku – postanowiłam nie zagłębiać się we wspomnienia – dlaczego dołączyliście do tej grupy?

– Ponieważ nie miałem wyboru – powiedział ściszonym głosem. – Będę służyć temu Murzynowi albo zginę.

– Ale panuje tu taki terror? Czy nie poradzilibyście sobie bez nich?

Zdążył otworzyć usta, ale nie zdążył wydobyć z nich dźwięku. Zagłuszył go dźwięk rogu, a później przeraźliwe krzyki innych ludzi.

– Jeźdźcy! Ciemni Jeźdźcy nadeszli!

Rozpętał się chaos. Na ulicę wpadł tuzin postaci dosiadających wychudłych koni. Czarne szaty powiewały na wietrze jak żagle. Na ich widok zrobiło mi się jeszcze zimniej.

Cała grupa Dantego rozpierzchła się we wszystkich kierunkach. Wujaszek Gerry pociągnął mnie za na wpół spalony samochód, stojący na chodniku.

– Nie ruszaj się stąd – nakazał i wyciągnął zza pazuchy srebrny pistolet o długiej lufie. Wybiegł zza samochodu i zaczął strzelać, zapewne do Jeźdźców. Zauważyłam, że ręce zaczęły mi się trząść, ale nie z zimna, tylko ze strachu. Czułam kołatanie serca. Zacisnęłam dłonie w pięści i starałam się przypomnieć sobie wszystko, czego ktokolwiek nauczył mnie o sytuacjach zagrożenia. Zdecydowałam się nie ruszać – i tak nie miałam broni.

Za to obserwowałam walczących. Oddział Dantego walczył z Jeźdźcami w różnych miejscach na ulicy, ale to nie była równa walka. Mimo że w większości ludzie mieli pistolety lub strzelby, a Jeźdźcy miecze, halabardy i topory, ci pierwsi padali częściej. Sterta kolorowych trupów przykrywała ziemię, a czarnych płaszczy leżało tylko kilka. Z dumą mogę powiedzieć, że polegli z rąk wujka Gerry'ego. Pomimo sędziwego wieku były żołnierz walczył zacięcie. Strzelał w co rusz innym kierunku, tak że ledwo mogłam objąć wzrokiem zasięg jego działań.

Niestety, w pewnym momencie amunicja musiała się skończyć. Obserwowałam, jak wyciągnął zza pazuchy pudełko z kulami, ale nie zdążył nabić broni. Przed nim bowiem stał Jeździec. Wysoki na dwa metry, zszedł z konia, jakby chciał złożyć wujaszkowi ostatni hołd, stając z nim do pojedynku. Wujek podniósł z ziemi miecz, zasalutował w stronę nieba i ruszył w kierunku przeciwnika. To było jak taniec. Piękny, ale śmiercionośny taniec.

Chciałam pobiec i mu pomóc, ale strach mnie sparaliżował. Niestety, taka walka nie mogła trwać długo. W pewnym momencie Jeździec przebił Gerry'ego mieczem. Wujek osunął się najpierw na kolana, a później się przewrócił.

Dopiero po chwili to do mnie dotarło. Z moich ust dobiegł zduszony okrzyk. Jak mogłam na to pozwolić?! Krew zaczęła szybciej płynąć w moich żyłach. Czułam, jak pulsuje. Nagle zapomniałam o zimnie, strachu czy odrętwieniu. Liczyło się tylko to, ile tych kreatur wyślę na drugi świat. Zacisnęłam pięści. Gdy tylko ten, który pozbawił wujaszka Gerry'ego życia, odszedł, podbiegłam do ciała starszego mężczyzny. Przewróciłam je na plecy. Zamierzałam zabrać broń i być może jakieś inne przydatne przedmioty, które miał ze sobą, ale nie było mi to dane. A przynajmniej nie od razu. Wujek jeszcze żył, chociaż resztki sił opuszczały go w zatrważającym tempie.

– Moje słodkie dziecko – wyszeptał. – Teraz widzę, że jesteś córką swego ojca.

– Wujaszku, jak mogę nią być, jeśli nawet nie wiem, jak on się nazywał?

– Imię jego było Robert Foox. Postaraj się go pokochać w jego ostatnich chwilach...

– Wujaszku, co masz na myśli? Wujaszku?! – potrząsnęłam go za ramiona, ale on już odszedł. Moja wola walki wręcz przeciwnie. Podniosłam srebrny pistolet i amunicję. Naładowałam broń, obiecując sobie, że przydatnych rzeczy poszukam później, gdy już nie będą zagrażać mi istoty będące połączeniem kostuchy z zombie. Powoli wstałam. Wycelowałam w znienawidzonego upiora i strzeliłam. Oczywiście spudłowałam, a dodatkowo zwróciłam na siebie jego uwagę. Postać odwróciła się w moją stronę jak w zwolnionym tempie. Czarne płachty łopotały jak nigdy. Nie zdążyłam zareagować, a już był przy mnie. Zobaczyłam tylko pomarańczową maskę zwierzęcia i liszajowatą dłoń z czarnym światłem w garści uderzającą mnie w klatkę piersiową. Na moment zabrakło mi tchu. Następnie straciłam przytomność.

\*\*\*

Cholera. Całe ciało bolało. Mogłam wyczuć każdą tkankę. Zagryzłam wargi, by się z tego bólu nie rozpłakać.

– Victoria?

Otworzyłam oczy. Nade mną pochylał się Dante.

– Co się dzieje? – wyszeptałam. Chłopak złapał mnie za rękę. Zacisnęłam zęby, ale po chwili całe cierpienie zniknęło.

– Nie wiem – odpowiedział cicho. – Straciłem przytomność w bitwie, a obudziłem się dopiero tutaj.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Było puste i małe, a przynajmniej obdrapane ściany sprawiały takie wrażenie. Przyczepiona do sufitu żarówka słabo świeciła i co chwilę migotała. Zamiast jednej ściany były kraty, za którymi zobaczyłam korytarz.

– Musimy się stąd wydostać. Uciekać… – wyszeptałam. Skąd nagle we mnie taka wola walki?

– Nie da się. Pręty są podłączone do prądu.

Mimo to zbliżyłam się do nich. Przezornie nie dotknęłam. Przejście za nimi nie było zbyt duże, ale pełne takich samych wejść do cel.

– Musimy czekać – położył mi rękę na ramieniu.

– Chyba na śmierć – strąciłam jego dłoń i usiadłam w kącie. Dante położył się na ziemi plecami do mnie.

– Vic.

To była Heather.

– Czego chcesz?

– Pomóc ci.

– W jaki sposób? Wyprowadzisz mnie z tej klatki?

– Nie – moja przyjaciółka pokręciła głową. – Muszę ci powiedzieć, żebyś przestała walczyć.

– Co? – zmarszczyłam brwi.

– Przestań walczyć. Po prostu. To wojna, której już nie wygrasz. Poddaj się. Może wtedy zginiesz bezboleśnie.

Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam. Heather, moja Heather, która nawet jeśli dowiedziała się o sprawdzianie pięć minut przed lekcją, otwierała podręcznik, by choć trochę się nauczyć, namawiała mnie do poddania się?

– Z kim rozmawiasz? – Dante odwrócił się. Na jego twarzy pojawił się grymas zdziwienia. – Kim pani jest?

Eee… Co?

Heather była przerażona.

– Foox, co ty zrobiłeś?! – zawołała w innym kierunku.

– Nie jesteś moją Heather – oświadczyłam. – A na pewno nie tą z mojego życia.

Teraz była wściekła.

– Oczywiście, że nie! Co ty, idiotko, myślałaś?! – wrzasnęła jeszcze i zniknęła.

O. Mój. Boże!

– Co się dzieje? Kto to był? – Dante był tak samo zdezorientowany jak ja.

– Nie mam pojęcia. To była moja przyjaciółka, która zginęła na samym początku apokalipsy – wyznałam. – Później z nią rozmawiałam, ale wydawało mi się, że potrzebowałam kogoś do rozmowy i podświadomie ją stworzyłam. Teraz okazuje się, że jednak nie.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem. Nie mam najmniejszego pojęcia jak to możliwe. Chyba szybko nas stąd nie zabiorą, co nie?

– Pewnie chcą, żebyśmy tu zgnili.

– Taa... Zastanawia mnie, czy mają jakiś związek z całym tym chaosem i Zgaśnięciem.

– Czym?

– Zgaśnięciem. Heather tak na to mówiła... Ach.

Nie chciałam o tym myśleć. Wychodziło na to, że moja droga przyjaciółka albo w jakiś sposób należała do tych ludzi, albo była zwykłym hologramem... Tylko po co to wszystko? Kim byłam, że interesowano się mną tak bardzo?

– To przykre – rzekł. – I dziwne.

– Bardzo dziwne. Ale zakończmy jej temat – pokręciłam głową. – Porozmawiajmy o czymś innym.

– O czym? – zaśmiał się gorzko. – To paradoksalne, ale dopiero po zniknięciu słońca poczułem smak życia.

– W jakim sensie?

– Uch... Przedtem prawie nie opuszczałem rodzinnej posiadłości. Większość czasu spędzałem przy książkach albo na siłowni. Nie miałem żadnych znajomych. Nie mam o czym opowiadać.

– Mój dziadek tak samo trzymał mnie pod kloszem – wzruszyłam ramionami. – No, nie do końca. Chodziłam do szkoły. Tam poznałam Heather.

Zadał jeszcze kilka pytań. Przez kilka następnych godzin (nie uwierzę, że minęło mniej czasu!) opowiadaliśmy sobie o swoich smutnych żywotach. Trudno było mi uwierzyć, że ktoś mógł żyć w ciaśniejszej „złotej klatce” niż ja. Moja sympatia do niego rosła. Musiałam wiedzieć jeszcze jedno.

– Dante, powiedz mi, jakie jest twoje prawdziwe imię?

Skrzywił się.

– Nie lubię go.

– Prawdopodobnie nigdy stąd nie wyjdziemy. Równie pewne jest to, że jestem ostatnią osobą, którą tu spotkasz. Powiedz mi. Proszę.

– Ech... No dobra. Rodzice nadali mi imię Samuel.

– Ładne – powiedziałam zgodnie z prawdą. – Dlaczego ci się nie podoba?

Wzruszył ramionami.

– Mam złe skojarzenia.

– Możesz być bardziej rozmowny?

– Jeszcze zanim rodzice zamknęli mnie w posiadłości, chodziłem do przedszkola. Spotkałem tam chłopca o tym samym imieniu, który niesamowicie mnie przerażał, kłamał i sprawiał wrażenie, że chce kogoś oszukać.

– To ci się nie dziwię.

– Teraz twoja kolej. Jakie jest twoje prawdziwe imię?

– To dość skomplikowana sprawa – podrapałam się po karku, zdobywając trochę czasu na ułożenie myśli w głowie. – Rodzice nazwali mnie Rosamundą, ale podrzucili mnie dziadkowi, gdy nie miałam więcej niż pół roku. Średnio mu to imię pasowało, ale jednocześnie nie chciał go zmieniać ze względu na mamę, dlatego przy adopcji załatwił mi swoje nazwisko i nowe imię, a Rosamunda przeszła na drugie. Teraz jestem Victorią Rosamundą, co brzmi równie źle, jak wygląda.

– Jesteś bardzo ładna, jeśli o to ci chodzi.

Poczułam, jak szkarłatne rumieńce wpływają na moje policzki.

– Dziękuję – wyszeptałam.

Do mojej głowy wpadła myśl. W pierwszym momencie wydawała się głupia, ale później uświadomiłam sobie, że nigdy tego nie robiłam. Prawdopodobnie tu umrę, więc jeśli nie teraz, to nigdy.

Pocałowałam go. To musiało go zaskoczyć, ale mnie nie odtrącił. Gdy w końcu się od niego odkleiłam, powiedział:

– Twój chłopak musiał być bardzo szczęśliwym człowiekiem.

– Gdyby tylko istniał.

– Nigdy się nie całowałaś?

– Nigdy.

– Wow!

– Nie obiecuj sobie za wiele – burknęłam. – Już stąd nie wyjdziemy, a ja chciałam to zrobić przed śmiercią. Tylko to.

– W porządku – podniósł ręce w obronnym geście. – Miło było.

Coś zaszurało. Przy kratach stał wyszczerzony w szczerbatym uśmiechu Hitlerek z dwoma strażnikami.

– No już gołąbeczki, koniec adoracji – powiedział. – Zabieram cię do pani oficer, mała gałganico.

Jak on śmie tak się do mnie odzywać?! Co on tu w ogóle robi?!

– Hitlerek?! Ty z nimi?! – wykrzyczał Samuel.

– Dla ciebie, kapral Mendele, śmieciu.

– Ufaliśmy ci!

– Ooo, naprawdę? Uroczo! A ja się przecież tylko z wami bawiłem! – zakpił. – No już, zabierajcie ją.

Strażnik otworzył kraty. Dante rzucił się na niego, ale wystarczył jeden ruch ręką, aby ponownie wylądował w kącie celi. Nie zdążyłam zareagować, a już byłam zakuta przez drugiego strażnika. Matko, ja naprawdę mam tak wolny refleks?

Hitlerek zamknął kraty.

– Do zobaczenia... Kiedyś – pożegnałam się.

Prowadzili mnie przez długi korytarz z wieloma zakrętami i schodami. W pewnym momencie Hitlerek otworzył jakieś drzwi. Strażnicy zasalutowali i sobie poszli. Kapral wprowadził mnie i przykuł do krzesła. Na pożegnanie wyszeptał:

– Jeszcze się spotkamy, ślicznotko... O ile po spotkaniu z panią generał będziesz w stanie otworzyć oczy – zarechotał. Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. – Ale jeśli nie, to...

– Kapralu Mendele, proszę zająć się swoimi obowiązkami – przerwał mu chłodny głos. Hitlerek odskoczył ode mnie jak poparzony.

– Tak jest, poruczniku – szybkim krokiem wyszedł z pomieszczenia. Oficer wszedł w zasięg mojego wzroku. Odebrało mi mowę. To był ten Jeździec, który pozbawił wujaszka Gerry'ego życia. Nie było mowy o pomyłce. Te same szaty, ta sama maska...

– Dlaczego to robicie?! – wrzasnęłam, nie panując nad emocjami. – Dlaczego mordujecie wszystkich jak leci?!

– Każde działanie ma swój powód – odparł spokojnie. – Wszystkie doświadczone przez ciebie krzywdy to drobnostka w porównaniu z tym, za co zostały wyrządzone.

Krew buzowała we mnie jak woda. Jak on śmie być tak spokojny?! Jak on może gadać o tym wszystkim tak, jakby chodziło o wylanie mleka, a nie wymordowanie całej ludzkiej populacji?!

– W ciągu ostatniego miesiąca zabiliście moją rodzinę i wszystkie bliskie osoby! Przez was prawie cała ludzka populacja wyginęła! Jakie to musiały być krzywdy, skoro mówisz o tym w taki sposób?!

Oficer spojrzał na mnie. Miał takie smutne, pełne cierpienia oczy. Prawie zrobiło mi się go żal.

– Przykro mi, że musiałaś cierpieć, jednak są winy, których się nie wybacza.

– Kochałam tych ludzi...

– Tak to już bywa, że kiedy coś kochamy najbardziej, to odchodzi, gdy najmniej się tego spodziewamy. Moja słodka, najukochańsza Tamara... Umarła, ponieważ wróciłem do domu godzinę za późno – ukrył twarz w dłoniach. Wyglądał na takiego, co od lat nie miał się komu wygadać. Może jeśli dam mu tę możliwość, poczuje do mnie jakiś rodzaj sympatii i nie zabije? Zdecydowałam się wysłuchać całej jego opowieści.

– Jak to się stało? – zapytałam.

– Pewnego dnia po pracy w laboratorium wyszedłem do baru. Byłem zbyt zdenerwowany porażką nowego wynalazku, aby wrócić do domu. Gdy o północy przekroczyłem próg salonu, moja żona leżała we krwi. Niczego nie zabrano, nie znalazłem też śladów walki. Rosie, mojej córki, nie było w pokoju. Oczywiście wszyscy myśleli, że to ja je zamordowałem. Nawet nie wzięto pod uwagę tego, że małej nie znaleziono! Odebrano mi żonę, córkę, majątek i chęć do życia. Wszystko.

– Jak wyszedłeś z więzienia? – postanowiłam kontynuować rozmowę jak najdłużej.

– Uwolnił mnie członek organizacji. Dostałem możliwość dalszych badań. Zaprojektowałem maszyny do tworzenia iluzji i zemściłem się na tych, którzy mnie skrzywdzili.

– Przecież nawet nie wiesz, kto cię skrzywdził. Dlaczego wybiliście prawie całą populację wysp?

Mężczyzna roześmiał się. Tak jak ja się uspokoiłam, on stał się wściekły. Śmiał się cynicznie, szaleńczo. Przerażało mnie to.

– Oczywiście, że wiem. Jej ojciec, który nie mógł znieść, że nie wyszła za kogoś z arystokracji. Ten stary pierdziel, Edward Hedwourd, wolał zabić córkę, niż pogodzić się z plamą na honorze, jakim było posiadanie plebsu w rodzinie!

Zaniemówiłam. Musiałam siedzieć z otwartymi ustami, bo po chwili ciszy oficer zapytał:

– Tego się nie spodziewałaś, co?

– Dziadek zamordował mamę? – wyszeptałam jak w transie. Momentalnie poczułam się jak balonik, z którego uleciało całe powietrze. Oficer wyglądał podobnie.

– Edward Hedwourd to twój dziadek?

– Tak. Jeśli nazywasz się Robert Foox, to... – te słowa ciążyły mi jak nigdy. – To... Cześć, tato.

Mężczyzna opadł na krzesło za sobą. Ukrył twarz w dłoniach.

– Nie... Nie mogę w to uwierzyć...

– Ja też nie... – łzy swobodnie spływały mi po policzkach. – Dziadek kochał mamę, czasami widziałam, jak płacze, patrząc na jej zdjęcia.

– Nic już nie rozumiem – pokręcił ze zrezygnowaniem głową. - Trafiłem do więzienia, mimo że nie mieli wielu dowodów potwierdzających moją winę. Ktoś musiał przekupić sędziego.

Trzasnęły drzwi.

– No to najwyraźniej jesteś idiotą, Foox.

Nie, nie, nie. Ten głos... Tak bardzo za nim tęskniłam przez tyle czasu, a teraz jego posiadaczka była ostatnią osobą, którą chciałabym widzieć.

– Heather? – wyszeptałam słabym głosem.

Stanęła przede mną. Wyglądała tak... jak nie ona. Dużo doroślej. Potęgowały to głównie mundur i makijaż, tak bardzo niepasujący do szesnastolatki, oraz brązowe włosy, zazwyczaj rozpuszczone w luźnych lokach, teraz spięte w koczek z tyłu głowy. Twarz miała nieprzyjemny wyraz.

– Generale, o co tu chodzi? – Tata (jak ja dawno nie używałam tego słowa!) wstał i napiął mięśnie. Był czerwony ze złości.

– A na co ci wygląda? – pomachała mu przed twarzą ręką. – Moja nemezis w końcu tu jest, masz mi pomóc się na niej zemścić!

– Heather, co ty mówisz? Przyjaźniłyśmy się odkąd pamiętam.

Spoliczkowała mnie.

– Dla ciebie to była przyjaźń? Nie rozśmieszaj mnie. Od początku tolerowałam cię tylko dla twoich pieniędzy. Co, zdziwiona? Zawsze byłaś tylko głupią, rozpieszczoną lalunią ze wszystkim, o czym ja mogłam tylko marzyć!

– Więc dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytałam z wyrzutem.

– A skąd mogłam wiedzieć, jak Panna Wiem Wszystko Najlepiej zareaguje? Znosiłam wszystkie nieprzyjemności z twojej strony przez lata... A teraz, dzięki organizacji i twojemu tatuśkowi, pomszczę wszystkie krzywdy, jakich biedni kiedykolwiek doznali przez nadętych bogaczy! – uniosła w moją stronę srebrny sztylecik. Na szczęście, ojciec złapał ją za nadgarstek.

– O wszystkim wiedziałaś?!

– Oczywiście, że tak! – warknęła. – Wszystko jest zapisane w oficerskiej bibliotece!

– I nic mi nie powiedziałaś?! – wybuchnął.

– Po co? Organizacja potrzebowała cię tylko do stworzenia powłoki iluzyjnej!

– C-co?

– Jesteś głupi czy głupi? Heloł, myślisz, że moi poprzednicy uknuliby całą tę intrygę, gdybyś nie był bardzo dobrze rokującym wynalazcą?!

Oficer rzucił się na Heather. Przewrócili się na podłogę. Widziałam, jak się szamoczą. Czerwone paznokcie wbiły się mu w szyję, ale nic to nie dało. Po chwili leżała nieprzytomna bądź martwa. Normalnie jakoś bym zareagowała, ale teraz średnio mnie to obchodziło.

– Dowiem się, o co jej chodziło – powiedział, wyjmując zza jej pazuchy jakąś kartę. Następnie podszedł do mnie. Zdjął krępujące mnie więzy i złapał za ręce.

– Rosie... To naprawdę ty?

– Ta-ak – pociągnęłam nosem. – Tato, proszę, uciekajmy stąd.

– Muszę zobaczyć jeszcze jedną rzecz. Do oficerskiej biblioteki! – rzucił rozkaz.

Pociągnął mnie za rękę. Przeszliśmy przez kilkanaście korytarzy, aż stanęliśmy przed wrotami z napisem: *Archiwum. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony.*

Foox otworzył je za pomocą karty zabranej Heather. Szybko weszliśmy do ogromnego pomieszczenia z milionem szuflad.

– Do końca świata będziemy tego szukać... – wyszeptałam zmartwiona.

– Na szczęście, nie – uśmiechnął się łobuzersko i podszedł do komputera w rogu pokoju. Zalogował się za pomocą karty oraz wpisał swoje dane. Momentalnie otworzyła się jakaś szuflada, a dron podleciał do niej. Po chwili poszukiwań położył przed nami teczkę Roberta Fooxa.

Zainteresowany otworzył ją pośpiesznie. Jego twarz bladła w miarę czytania. W końcu, biały jak marmur rzucił teczką o ziemię i opierając się o ścianę, zapłakał. Ja podniosłam plik papierów i również zapoznałam się z ich treścią:

*Robert Foox. Odmówił dołączenia do Organizacji.*

*Żona i córka Fooxa miały zostać porwane, aby szantażowany wynalazca pod przymusem musiał pracować dla Organizacji. Tamara Foox poniosła śmierć podczas próby jej porwania. Rosamunda Foox została dostarczona do siedziby bez żadnych uszczerbków.*

*O zabójstwo żony oskarżono Fooxa. W czasie dochodzenia śledczy burżuazji mieli wątpliwości, jednak podesłany przez Organizację sędzia skazał Roberta Fooxa na dożywotnie więzienie.*

*Aby zdobyć wdzięczność i zaufanie wynalazcy, kapral Mendele uwolnił go. Wtedy Foox dołączył do Organizacji.*

Następnie bardzo dokładnie opisane było, jak zaprojektował i zbudował maszyny do tworzenia iluzji, dzięki którym mogli „zgasić” Słońce. Wychodziło na to, że mogę zakończyć ten koszmar. A mój „zmartwychwstały” ojciec mi w tym pomoże.

Złapałam go za ramię.

– Tato, musimy to wszystko odkręcić. Musimy...

– Zabić tego potwora Mendele.

– Ale...

– Rób co chcesz!

Perfekcyjny ojciec, nie ma co. Mimo wszystko pobiegłam za nim. Byliśmy już w kompletnie innym skrzydle, gdy otworzył kopnięciem jakieś drzwi.

– Co jest... – Hitlerek upuścił papierosa. Foox nawet się nie odezwał. Wpakował w kaprala kilka kul. Ranny wydał zduszony okrzyk i osunął się na ziemię. Zacisnęłam ręce w pięści.

– Jesteś taki sam jak oni! – krzyknęłam. – Niczym nie różnisz się od świrów, którzy zgotowali to wszystko!

Wypuścił pistolet z dłoni. Odwrócił się. Jego oczy były pełne łez. Wow, jaka szybka zmiana.

– Rosie, przepraszam – rzucił się w moją stronę i objął mnie w pasie. Zaczął łkać w moje ramię. Chcąc nie chcąc, pogładziłam go po włosach. – Gdy stąd wyjdziemy, zechcesz być moją córką?

– Tak, tato. Zawsze – rzęsiste łzy spływały również po moich policzkach. – Musimy przywrócić dawny porządek, nie?

– Tak. A nawet wiem jak.

\*\*\*

Konsoleta wyglądała wspaniale. Tysiące różnorodnych guzików, dinksów, wihajstrów i przerzutni migotały w prawie białym świetle lamp. Srebrny ekran górował nad salką. Nieziemski efekt psuł tylko operator z rozbitą głową, leżący na podłodze.

Foox z prędkością światła naciskał różne przyciski. Na ekranie pojawiały się symbole, których nie rozumiałam. Po chwili grzebania w maszynie, odwrócił się do mnie.

– Ustawię autodestrukcję na pół godziny. Po takim czasie spokojnie się wydostaniemy i zdążymy odejść kilka kilometrów – powiedział.

– Musimy wrócić po więźniów.

– Tu nie ma żadnych więźniów. Żadnych nigdy nie braliśmy.

– W celi siedziałam z jednym chłopakiem. Proszę, nie możemy go tak zostawić – zrobiłam maślane oczy.

– Dobra – westchnął. – Trzydzieści pięć minut – nacisnął jeszcze kilka guzików i na ekranie pojawił się licznik. – Idziemy.

\*\*\*

Przed lochami stał strażnik. Oczywiście zadawał za dużo pytań. Jego krew zalała całą podłogę. My spokojnie weszliśmy do korytarza z celami. Faktycznie, wszystkie były puste, oprócz ostatniej. Gdy dopadłam krat, Samuel siedział skulony w kącie.

– Jednak wróciłaś – powiedział zdziwiony, wstając.

– Wiejemy. Bez żadnych postojów – odparłam szybko. Foox otworzył celę przy pomocy konsolety. Dante wyszedł. Dopiero gdy wszedł w światło, zobaczyłam świeżą bliznę na jego twarzy.

– Co ci...

– Nie teraz, Rosie – przerwał mi tata. – Zostały nam dwadzieścia dwie minuty.

Pośpiesznie ruszyliśmy przed siebie. Samuel kulał.

– Nie możesz iść szybciej? – poganiał go oficer. Byliśmy już na korytarzu.

– A jak pan myśli? Jakaś wariatka jeździła mi scyzorykiem po skórze. Robiłaby to dłużej, gdyby nie została pilnie wezwana.

Biedactwo.

– Pewnie kapral Rousseau. Ma podobne zainteresowania do Mendele.

Ni z tego ni z owego usłyszeliśmy stukot obcasów.

– O mnie mówisz, Foox?

O nie. Nie, nie, nie. Stały tam. Heather z bandażem na głowie i inna kobieta, blondynka z tatuażem czaszki na całej twarzy. Tata zacisnął pięści.

– Nie udało mi się wtedy, w sumie dobrze. Obiecałam Aurore, że pozwolę się jej pobawić z więźniami – wycedziła Heather.

– Nie pozwolę ci na to, ladacznico! – krzyknął Foox. Wymierzył w nie z pistoletu. Nacisnął spust. Pierwszy nabój wyleciał i uderzył w ścianę, następny już nie. Magazynek był pusty.

Heather i Aurore spojrzały po sobie, po czym zaśmiały się złowieszczo.

– Już po ciebie idę, kotku! – Wytatuowana skoczyła na Samuela ze szpadą. Ojciec rzucił się mu na pomoc. Mnie zaatakowała Heather.

– Nie żyjesz! – krzyknęła złowieszczo.

Cofnęłam się o kilka kroków. Na moje szczęście na całej długości korytarza do ściany były przyczepione drewniane kije, być może w formie dekoracji lub ochrony. Bez trudu oderwałam jeden i stanęłam przed dawną przyjaciółką. Jeszcze coś do mnie krzyczała, ale puściłam jej słowa mimo uszu. Musiałam skupić się na walce. Walka była wyrównana: Heather miała broń, a ja szlifowane od dzieciństwa umiejętności. Próbowałam uderzyć ją w dłoń, by wypuściła szpadę, albo w jakikolwiek inny sposób zadać jej obrażenia, jednak każdy mój cios parowała. W końcu uderzyła z całej siły i wytrąciła mi kij z ręki. Aby nie nabić się na ostrze, cofnęłam się o krok. Oczywiście musiałam potknąć się o własne nogi – po chwili leżałam już jak długa na ziemi. Heather stanęła nade mną.

– Zawsze byłam od ciebie lepsza. Teraz cię zabiję! – wysyczała i uniosła szpadę nad głowę. Już miała ją opuścić, gdy tata przywalił jej rękojeścią pistoletu o tył głowy. Przygniotła mnie. Szpada wbiła się w podłogę kilka centymetrów od mojej głowy.

– Rosie, szybko – Foox zepchnął ciało Heather i pomógł mi wstać. – Siedem minut!

Rzuciliśmy się biegiem.

– Sześć minut...

Mijaliśmy coraz więcej drzwi.

– Trzy minuty!

Dopadliśmy wielkich wrót. Za pomocą karty Heather tata je otworzył. Świeży podmuch wiatru uderzył mnie w twarz. Tak długo na to czekałam!

Wybiegliśmy. Zaczynało brakować mi oddechu, ale wiedziałam, że jeśli nie znajdę się w odpowiedniej odległości, umrę.

Wybuch odrzucił nas na kilka metrów. Uderzyłam o coś głową. Straciłam przytomność.

\*\*\*

– Vic? Vic, obudź się! – ktoś potrząsał za moje ramiona. Rozchyliłam powieki, co było dość trudne, bo słońce raziło w oczy. Samuel pochylał się nade mną i uśmiechał się szeroko.

– Udało się, udało!

Rozejrzałam się. Wielki budynek zamienił się w zgliszcza. Ponadto wszędzie leżało coś w rodzaju dronów, a nad nami świeciło słońce. Nie mogłam się na nie napatrzeć.

– Moja maszyna stworzyła iluzję braku słońca na całą Wielką Brytanię – powiedział siedzący w pobliżu ojciec. – Samuelu, jak twoja noga?

– Mogłoby być lepiej – odrzekł chłopak. – Ale dzisiaj już nic nie popsuje mi humoru.

– Tu jest tak pięknie – usiadłam koło niego i położyłam mu głowę na ramieniu.

– Czyli tamto, w celi, jednak coś znaczyło? – zapytał.

– Oczywiście, że tak, głuptasku.

Jednorożec

(klasa trzecia gimnazjum)